

Od autora: Jaka jest siła ludzkiej przyjaźni? Czym może być jeśli trwała od dzieciństwa przez całe lata? Czy śmierć jest w stanie położyć jej kres? Nie. I o tym ta opowieść.

A KIEDY CIĘ TRACĘ

Znaliśmy się od dzieciństwa, kiedy to mieliśmy po sześć lat.

Bawiliśmy się u ciebie na podłodze plastikowymi żołnierzami, tocząc zawzięte bitwy, my, generałowie swoich małych armii.

Na podwórku ścigaliśmy się na rowerach, zawsze grając fair play.

Nasi ojcowie przyjaźnili się, stąd i nasza znajomość, która miała przetrwać całe dziesięciolecie, kiedy to los splatał drogi i sprawiał, że byliśmy bardzo blisko siebie.

Spędzałeś zawsze miesiąc u nas na działce, gdzie w pięknej scenerii łowiliśmy ryby, chodziliśmy na grzyby i na jagody, my dwaj, przyjaciele od pierwszego wejrzenia.

Biliśmy rekordy, kto ile przepłynie lub wytrzyma pod wodą.

Chodziliśmy też piechotą nad rzekę, głodni wrażeń z łowienia rzadkich gatunków ryb.

Potem, zmęczeni, ale szczęśliwi wracaliśmy trzy kilometry do domu, nie bacząc, że już się zmierzchało i nasi rodzice mogli się poważnie o nas martwić.

Ale nigdy nie było niczego, co by nam stanęło na drodze, zawsze wszystko razem robiliśmy, udawało się i potem pozostawała satysfakcja z koszyka jagód czy wielkich okazów okoni.

Johnny, pamiętasz?

Będąc już w liceum zorganizowaliśmy ognisko we wsi, gdzie mam działkę i doszło do bójki z miejscowymi, którym nie podobali się kolesie z dużego miasta, co oznaczało niewątpliwie łomot.

To oni go dostali, bo ty już wtedy uprawiałeś kulturystykę i byłeś kawał byka.

Do dziś zastanawiam się, czemu nie odpuścili, widząc rozmiary twoich mięśni.

Do rana śpiewaliśmy przy gitarze, nie martwiąc się o to, co przyniesie kolejny dzień.

A przynosił same szczęśliwe chwile, bo to one są ponoć w życiu najważniejsze, nie niepokojeni niczym spędzaliśmy kolejne wakacje, a później kolejne i tak dalej.

Po maturze postanowiłeś wstąpić do armii.

Dostałeś przydział do komandosów.

Z naszych rozmów wnioskowałem, że spełnił się twój sen, jako że zawsze chciałeś być żołnierzem i nosić mundur, a biorąc pod uwagę twoje warunki fizyczne musiałeś trafić do elity.

Miałeś już mniej czasu dla mnie, choć spotykaliśmy się dość regularnie.

Zacząłeś także pisać do czasopisma wojskowego artykuły o tematyce wojennej.

Na moich oczach rozkwitałeś i widziałem, jak strasznie chciało ci się żyć.

Bo tak jest, gdy nasze marzenia się spełniają, nam rosną skrzydła i mamy trzy metry wzrostu.

Niemal równocześnie kupiliśmy sobie nasze pierwsze samochody – były to Fordy Mustangi rocznik

1964, z winylowym dachem, szerokimi oponami, 271 kołmi mechanicznymi, lśniącochromowanymi felgami, radiem i klimatyzacją.

Jazda takim autem to była czysta frajda, by nie mówić, rozkosz.

Gdy miałeś czas wieczorem, urządzaliśmy sobie małe wyścigi, gdzieś, na bocznych drogach, by nas gliny nie zatrzymały, i to było to, co nas wtedy rajcowało i dawało wiatru w żagle.

Potem zniknąłeś na jakiś czas, bowiem podpisałeś kontrakt na misję zagraniczną.

Pisaliśmy do siebie listy, ty przysyłałeś mi pocztówki z miejsc, w których stacjonowałeś.

Brakowało mi naszych męskich rozmów, i tego wszystkiego, co się wiąże z przyjaźnią.

Nie raz łapałem się na myśli, czy może coś ci się stało, może najechaliście na minę.

Johnny, jakże drżałem wtedy o ciebie, jakbym był twoim ojcem.

Lecz ty byłeś w czepku urodzony – z każdej misji wracałeś cały i zdrowy.

Kule i bomby omijały cię szerokim łukiem, czyżbyś miał monopol na nietykalność?

Niewątpliwie los ci sprzyjał, tam, w dalekim kraju, na innym kontynencie.

I zawsze z każdej wyprawy przywoziłeś mi jakiś prezent.

Najdziwniejszym był czarny skorpion w słoiku...

Zawsze podziwiałem cię za tę cechę charakteru – pamięć o najbliższych.

Rodzice także otrzymywali podarunki, i cieszyli się jak dzieci.

Twoje serce było ogromne i wciąż biło dla innych – nawet kosztem siebie chciałeś uszczęśliwiać ludzkość, a ona wdzięczna, dziękowała ci w dwójnasób.

Dopiero po latach miałem się dowiedzieć, do czego byłeś zdolny.

Ale musiało upłynąć sporo wody w rzece Missisipi, abym poznać całą prawdę o tobie.

Kiedyś wybraliśmy się na ryby i wtedy miała miejsce ta rozmowa.

Byłeś wtedy u mnie na działce.

- Johnny, dlaczego nie wiedzie się nam z dziewczynami?
- Może za mało mamy czasu, by im poświęcić.
- Albo za mało się staramy?
- Przecież niczego nam nie brak. Uważam nas za przystojniaków.
- To jakaś klątwa.
- Uważam, że każdy ma kogoś na świecie, na kogo musi, wcześniej czy później, trafić. Tak się rodzą miłości. Pewnie i z nami tak będzie. Wierzę w to całym sercem.
- Ty w wojsku masz wyjątkowo mało czasu na podryw.
- Zgadza się. Ledwo starcza mi na spotkania z tobą i rodzicami.
- A jakie są twoje marzenia?
- Chciałbym założyć rodzinę, mieć stadko dzieci i wyrozumiałą dla mojej pracy żonę.
- Z tym może być problem...
- Wiem, nie każda chce żyć pod presją.
- Ale wielu żołnierzy ma szczęśliwą rodzinę i jakoś to ze sobą godzą.
- Też bym tak chciał, ale tak jak mówiłem wcześniej, czas pokaże.
- Johnny, w miasteczku jest dziś potańcówka, może podskoczymy tam zobaczyć, co i jak?
- To świetny pomysł.
- To taka mała zapyziała dyskoteka „Bimbo”, kto wie, co się wydarzy?
- Tylko muszę się przebrać, bo jak wparuję w mundurze, to wszyscy uciekną.
- Czasem w najmniej oczekiwanym momencie...
- Właśnie i tego się trzymajmy.

- Kto prowadzi?
- Ten, kto mniej wypije – zaśmiałem się.
- Nie boisz się glin? Toć to kryminal – rzekłeś poważnie.
- Jak się bawić, to się bawić.
- No skoro tak mówisz.
- Tobie jako żołnierzowi mogą naskoczyć, ale ja? Ja jestem cywilem i podpadam pod paragrafy.
- Pieprzyć to! Decyzja zapadła.
- Jasne. Idę się przebrać.
- A ja wykąpać.
- Ale tylko piwo, ok.? Nie lecimy na twardo.

- Dobrze. Choć i piwem można się ostro urznąć.

Po godzinie odpaliłem Mustanga i ruszyliśmy w drogę.

W radio wesoło śpiewał Johnny Cash o miłości po czasie kres, co pozytywnie wpływało na nasze morale, jako że nie mieliśmy zamiaru zmarnować tej nocy.

Jeszcze w domu wypiliśmy po piwie, tak pod humor.

Przyjechałeś do mnie tylko na dwa dni, więc tym bardziej zależało nam na czasie.

Gdy byliśmy już w miasteczku, usłyszeliśmy głośną muzykę i mnóstwo młodych ludzi wałęsających się po trotuarze.

Zaparkowaliśmy przed dyskoteką i nieśpiesznie weszliśmy do środka.

Zamówiliśmy po piwie i obserwowaliśmy parkiet, na którym tańczyło wiele par.

Jako że nie chciało nam się stać jak kołki w płocie, usiedliśmy przy jednej z ław, które ciągnęły się wzdłuż jednej ze ścian dyskoteki.

- Muszę skoczyć do kibelka – powiedziałem.
- Mus to mus – odparłeś rezolutnie.

Johnny, pamiętasz?

Nie było mnie raptem parę minut, a już wiele się zmieniło.

Przy naszej ławie, obok ciebie siedziały dwie młode dziewczyny.

Ten widok mnie nie tyle ucieszył, co zdziwił.

Przez chwilę przystanąłem, by się im przyjrzeć – były niczego sobie, jedna była blondynką, a ta czarna miała bardzo duży biust i ładny uśmiech, i to ona rzuciła mi się w oko od razu.

Były trzeźwe w przeciwieństwie do nas.

Ale trzymaliśmy jakoś fason, choć w sumie wcale nie musieliśmy, bo to one poprosiły cię o ogień i za-
pytały, czy mogą się przysiąść.

Rozmowa bardzo się kleiła, więc wszystko było pod kontrolą.

Dużo nam o sobie opowiadały: pracowały w pizzerii i chciały wyrwać się do dużego miasta.

Tu każdy każdego znał i obrabiał mu tyłek.

Takie miejscowości to mordownie i nic dziwnego, że chciały dać stąd dyla.

Przetańczyliśmy całą noc.

Odkryliśmy w sobie duszę tancerzy.

Czas stanął w miejscu, i było tylko „tu i teraz”.

Nie było wczoraj i nie było jutra, była chwila zaklęta w dobrej zabawie.
Były momenty, kiedy przypominałem sobie nasz niefart w miłości – teraz wszystko zdawało się odmieniać i los, ten cwany gracz, podawał nam najwyraźniej rękę.
Czułem od tej dziewczyny dobre fluidy i szczerą chęć zbliżenia się do mnie.
To się czuje intuicyjnie, a ja miałem zawsze bardzo dobrze rozwiniętą intuicję.

Cycatka natychmiast przylgnęła do mnie, a blondynka do ciebie.
Wirowaliśmy w tańcu, choć w głowie się nieźle kręciło po tylu wypitych piwach.
Ale młodość ma swoje prawa i siłę – wciąż byliśmy w pionie i dziewczyny nawet nie poczuły, jak byliśmy napruci.

- Może coś zjemy? Ja stawiam – spytałem.
- Fajnie – odparły.
- To chodźmy do baru.

Mieli tu dobre befsztyki, więc zamówiłem cztery z frytkami i surówką.
Po chwili już jedliśmy, przez moment nie rozmawiając.

Nagle Donna, ta „moja” zapytała:

- Spotkamy się znowu?
- Johnny jest jeszcze jeden dzień, ale ja cały miesiąc – odpowiedziałem.
- To super. Chętnie się z tobą umówię. Przez cały miesiąc.
- A my, Johnny, wymienimy się telefonami – powiedziała blondynka.
- I o to chodzi – spointowałem.

To ja prowadziłem do domu – byłem tak nawalony jak stodoła.
Ponieważ dziewczyny mieszkały po drodze, zabrały się z nami.
Siedziałeś z tyłu i trzymałeś mi głowę w pionie, bym jako tako widział teren.
Przed nami policja drogowa zatrzymała faceta.
Co by było, gdyby go nie było przed nami?
Aż boję się dziś pomyśleć, odkąd już nie jeżdżę po pijaku.
Ta noc była ostatnią, kiedy to zrobiłem.
Potem już zadziało trzeźwe myślenie.

Wysadziliśmy je pod domem i jeszcze przez chwilę rozmawiałem z Donną.
Umówiliśmy się na następny dzień – miałem po nią przyjechać.
Jeszcze do mnie nie docierało, że coś się między nami rodziło.
Takich chwil się nie wyłapuje, jest już tylko stan po nich, fakt dokonany.
I gdy następnego dnia obudziłem się, już wiedziałem, że coś się wydarzyło.
Coś, czego nijak nie mogłem się spodziewać, a co weszło w moje puste życie.

Skąd mogłem wtedy wiedzieć, że dziewczyna, którą poznałem na dyskotecie, i spędziłem namiętny wrzesień, zostanie za dwa lata moją żoną?
Nigdy nie wierzyłem w przypadek w życiu, a w Przeznaczenie.
Co komu pisane, to dostanie, i nigdzie od tego nie ucieknie.

Skąd mogłem wówczas wiedzieć, że stworzymy udane małżeństwo i doczekamy się dwójki dzieci?
Nie wiedziałem nic, nawet nie mogłem się domyślać, bo niby jak?

Gdy minęło lato, dziewczyny zaczęły regularnie do nas przyjeżdżać – blondynka do ciebie, a Donna do mnie, i cenne chwile spędzaliśmy na snuciu wspólnych planów, niekończących się spacerach i oglądaniu telewizji.

To był piękny czas, przepełniony romantyzmem i marzeniami, w których widzieliśmy się jako zwycięzcy świata, ci, którym się naprawdę powiodło i zyskali najważniejszą rzecz – miłość.

Johnny, pamiętasz?

Johnny, zakochałeś się na śmierć i nie widziałeś świata poza nią.

Po pół roku odwiedzin oświadczyłeś się i zostałeś przyjęty.

Pamiętam, jak się cieszyłeś, cieszyłeś jak dziecko.

Odnalazłeś swoją szczęśliwą przystań, swój raj na ziemi.

Karta się odwróciła – jednak dziewczyny nas kochały.

Trzeba było tylko być w dobrym miejscu i w dobrym czasie.

I chwycić swoją złotą szansę w dłoń, pewnie i stanowczo.

- A jednak nie jesteśmy takimi cieniasami, Mike – krzyknąłeś wesoło.

- A nie mówiłem, że istnieje tylko Przeznaczenie.

- To biedna dziewczyna, ale dobra.

- Liczy się tylko serce. Tylko nim patrz na świat.

- Właśnie. Ona daje mi coś, czego nie umiem zdefiniować.

- I nie szukaj odpowiedzi, popłynij po prostu na tej fali.

- Za pół roku żenimy się. To już przyklepane. Rozmawiałem z rodzicami, są zachwyceni.

- Ja, jak wiesz, żenię się za dwa miesiące, więc zagłądaj do skrzynki pocztowej, bo będzie tam nasze ślubne zaproszenie - uśmiechnąłem się.

Wesele odbyło się jak należy.

Goście bawili się przednio, a i my byliśmy wniebowzięci, że tak to wszystko się potoczyło.

Jestem pewien, że zapamiętam ten wieczór na całe życie, bo mieliśmy dobry zespół, doskonale jedzenie, piękny wystrój sali i w ogóle niczego nie było nam brak.

Na twarzach przybyłych widać było radość z dobrej zabawy.

A my, wpatrzeni w siebie, nie widzieliśmy otaczającego nas świata.

Wśród gości byłeś oczywiście ty ze swoją blondynką.

Wirowaliście w tańcu całą noc, szczęśliwi, że nam się powiodło.

Przyjmując koperty od zaproszonych, zapamiętałem tę najgrubszą – była od ciebie.

A Donna i ja?

Przecież mogliśmy rozejść się po tamtej dyskotecie i więcej nie spotkać.

Coś mogło nie zaskoczyć, a jednak...

A wy?

Stworzyliście najdłuższy pocałunek tego wesela.

Wszyscy wiedzieli, że jesteście sobie pisani i że połączy was ślubna obrączka.

Johnny, byłeś instruktorem skoków spadochronowych.

W stosunkowo młodym wieku miałeś już stopień pułkownika i twoja jednostka kochała cię jak ojca, jak

kogoś, kto jest opiekunem i dba o swoich chłopców jak o własnych.
Wyjeżdżałeś często w różne miejsca kraju, by szkolić żołnierzy wojsko powietrzno-desantowych.
Był taki dzień, który nie powinien się nigdy wydarzyć, ale los chciał inaczej.
Uświadomiło mi to potworną siłę Przeznaczenia, tego, że w jego rękach jesteś jak suche liście na jesien-
nym wietrze, jak marny pył, który polecą tam, gdzie powieje.
Że powinniśmy dziękować Bogu za każdy przeżyty w zdrowiu i szczęściu moment.
Bo nic nie jest nam dane na bank.
Czasem los potrafi okrutnie zakpić i wypiąć się tyłkiem do nas i opętańczo zaśmiać się.
I niczego nie da się już odkręcić...

6 grudnia 1965 roku wraz z trzema osobami wracałeś ze szkolenia skoków.
Byliście w szampańskich humorach, bo wszystko udało się i poszło po myśli.
W radio Johnny Cash śpiewał o duchach jeźdźców na niebie.
Rozszalała się paskudna burza śnieżna i nic nie było widać na drodze.
Mordercza biel zalała świat i uniemożliwiła rozsądne myślenie.
Samochód jechał po śniegu, co sprawiało, że nie miał przyczepności.
Kierował niejaki Jimmy, ty siedziałeś na siedzeniu dla pasażera.
Nagle samochód wpadł w poślizg i z wielkim impetem uderzył w drzewo.
Uderzył tą stroną, po której siedziałeś.
Tego dnia ty jako jedyny zginąłeś w tym wypadku.
Nikommu poza tobą włos z głowy nie spadł...

Na pogrzebie pojawiły się dziesiątki osób na wózkach inwalidzkich.
Początkowo nie wiedziałem, o co chodzi, ale ktoś mi powiedział, że ty i chłopcy z twojej jednostki opie-
kowaliście się ludźmi niepełnosprawnymi, robiąc im zakupy, wykupując leki w aptece, wyprowadzając
na spacer i darząc ich czysto ludzką życzliwością.
Wielu z zebranych płakało, bo coś się nagle skończyło, podle i beznadziejnie...
Ich opiekun odszedł i już nigdy nie wróci, zabrała go mętna fala śmierci.

Mój drogi, nie zatańczę już na twoim weselu.
Moje taneczne buty będą już dla kogoś innego.
Nigdy nie pojedziemy na moją działkę.
Nie wypłyniemy łódką na ryby.
Nie napijemy się z naszymi dziewczynami piwa.
Pozostanie tylko jedno wielkie „nigdy”.
W pamięci przechowam cię na wieki.
Bo nikt mi ciebie nie zastąpi.
Tych przygód, tych rozmów aż po świt, tej męskiej miłości, bracie.
Na myśl o tobie boli mnie serce, a świat oddala się jak uciekający pociąg.
Wszystko jakby było zaledwie wczoraj...
Jakby to, co sobie dawaliśmy, trwało i było w nas nieskończenie.

Często z Donną odwiedzamy twój grób, zbieramy liście, pastujemy nagrobek.
Zatapiamy się w zadumie – czemu tak łatwo odszedłeś?
Kładziemy świeże kwiaty, modlimy się i odchodzimy nieco lżejsi.
Za każdy razem czuję, jakbyś nas widział z góry i uśmiechał się, mówiąc: „Jest mi tu dobrze, nie martwcie
się o mnie. Lepiej nie mogłem trafić. W domu Pana jest mieszkań wiele.”

A ja wiem, że kiedyś znów przyjdzie się nam spotkać, w innym świecie, w innych okolicznościach.

Na błoniach zaświatów.

Cykl: Był taki dzień

25 stycznia 2023

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 03.03.2023 16:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.